

# Sensacja warszawskiej ulicy

## Scianolaz na 4-ropiętrowym gmachu

### Popisy „człowieka — muchy“

Wpoprzek ulicy Skorupki wielki transparent, zachęca do obejrzenia „jedynych“ pokazów rekordowego chodzenia po ścianach domów przez „człowieka — muchę“. Na ulicy stoi już tłum gapiów. Kilku policjantów przechadza się z minami magów. Dwie kasy po dwa stronach, na chodnikach. Przejście przegradza linka.

Dochodzi 8-a wieczór. Godzina pokazu. Tłum wyciekający widoku to w 80 procentach dzieci. Tumult straszny. Gdzieniegdzie malcy biorą się za głowy i zdrowo tarmoszą.

Aż oto nagle z kilku balkonów spada biała lawina kartek. Coś jak zapowiedź. Jedyny polski akrobata ścianolaz — jak głosi pismo — ma wykonać „zadziwiające wejście po ścianie kamiennicy na dach bez jakichkolwiek przyrządów, chodzenie po parapetach i gzymsach, akrobacje na drabinie i trapezie nad przepaścią oraz zejście z dachu spowrotem po ścianie“.

Malcy tłuką się i wydierają sobie kartki. Ścianolaza jakoś nie widać, ale zaczyna grać, jakaś bardzo mizerna kapela, na ścianie domu ul Skorupki 12 pada światło reflektora, coś jakiegoś majstry dębnią przy murze, policja odsuwa patrzących od frontu budynków, na których ma popisować się „człowiek — mucha“.

— Proszę się cofnąć, proszę się cofnąć — woła władza — może spaść, to jeszcze kogo potrąci...

Zjawia się wreszcie sam „mistrz“. Cały okutany jakimś, jakby barchanowym szlafrokiem, z małą granatową czapczką na głowie. „Człowiek — mucha“. Za chwilę pokazuje się na jednym z balkonów pierwszego piętra. Ukłon w stronę publiczności i monolog.

Podobno „człowiek — mucha“ do biega końca trzeciej setki niebezpiecznych pokazów, jak sam mówi, na cele charytatywno-społeczne zebrał, za występ, 29 tysięcy złotych, które przekazał różnym instytucjom. Dla udokumentowania bezinteresowności swej

pracy pokazuje album z podziękowaniami. Rozkłada kartkę po kartce — razem sklejone — wąż podziękowań, aż osiada na parterze. Monolog kończą wierszyki, skomponowane przez „mistrza“ i przez niego deklamowane. (I teksty i deklamacje, pod zdechłym Medorkiem — jakby powiedział człowiek ulicy).

Rozpoczyna się pokaz. Orkestra przygrywa. „Człowiek — mucha“ ukazuje się na dole, zrzuca szlafrok, zostaje w kostjumie sportowym.

Zaczyna się wiazenie po murze chyżo i śmiało. Potem na wysokości pierwszego piętra spacer po parapecie i gzymsach. Tynk trochę trzeszczy, panie się odwraca

cają a ścianolaz ledwie dotykając gzymsów posuwa się w górę piętro po piętrze. Robi to dziwnie wrzenie, jakby człowiek stracił swą wagę, jakby magnes trzymał go przy ścianie domu.

Kilkaset osób obserwuje wspinanie się akrobata. Czasami wydaje się, że już, już za chwilę „człowiek — mucha“ oderwie się od muru, że obsunie się i runie w dół. Ale on idzie dalej pewnie i śmiało.

Parę minut trwa obejście fasady i dotarcie do gzymsu domu. Jeszcze jedno wspięcie chyba najcięższe i już nie grozi czteropiętrowa przepaść i bruk ulicy.

Teraz „człowiek — mucha“ staje już na dachu i skłania się publiczności. Biją mu brawo. Dzieci, które nigdy może nie widziały cyrku i popisów akrobatów, są zachwycone.

Rozpoczyna się druga seria popisów. Na środku domu wysunięta jest drabina, oparta o występ fasady czwartego piętra. Na końcu drabiny umieszczono trapez.

Cykl niezbyt różnorodnych, ale dość śmiałych ewolucji. Efektowność ich podnosi tło nocy, światło reflektora rzucone na postać akrobata i miejsce popisu, szczyt czteropiętrowego domu.

Zebrała gromada odpowiada z dołu oklaskami. Jest dziwna bezpośredniość w reakcji ulicy.

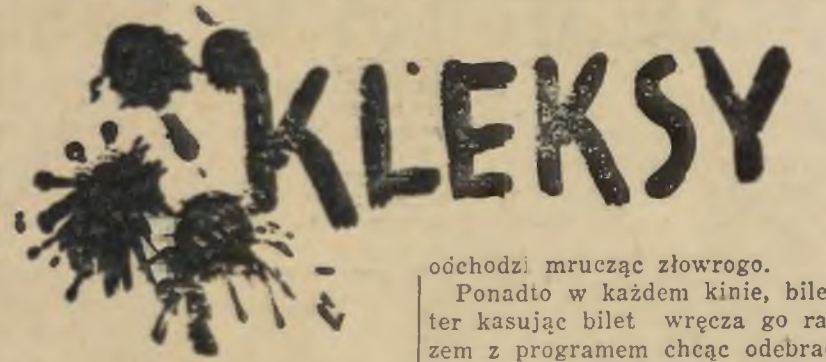
Gdy akrobata nagle zacementowany nogami wisi na trapezie jakaś dama woła: — Na litość boską, spadnie. Przecież to człowiek, nie dajcie, nie pozwólcie! Spadnie...

Policjant przeciska się ku wrzawie damie i uspokaja ją, a w tłumie śmieją się. Jakis sztabak w czapce dawnej szkoły Górskiego woła jeszcze za nią: — Niech pani spojrzy. O wisi teraz za jedną rękę...

Za chwilę koniec popisu. Orkestra cichnie. Cyrk na ulicy skonczony. Tłum się rozchodzi.

A jutro „człowiek — mucha“ znowu powtórzy popis, po kruchych występach murów przesunie się po fasadzie domu. Znowu będą oklaski i znowu i granie ze śmiercią nad wielopiętrową przepaścią ulicy.

Sensacja ulicy na amerykańską modłę.



## Bakszysz

Wracając wieczorem do domu, nieraz zaglądałem do portmonetki i dziwiłem się wielce:

— Gdzie się podziały te drobne? Byłem na kolacji, prawda, ale rachunek uprzął się zapłacić Henio. Potem byliśmy w kinie, zapłaciłem dwa wejścia po 2 złote to razem 4. Więc gdzie reszta? Powinno być w portmonetce jeszcze conajmniej 5 złotych.

Okazuje się, że w dziennym budżecie najwięcej drobnych pochłaniają napiwki, wypalają je łowcy specjalnie do tego celu wytrenowani. Są tak zreczni, że się ichomal nie zauważa.

Niedawno zadałem sobie fatygę na wyśledzeniu tych szpar, które drobne wyciekają z kieszeni.

Gdy przekąsiwszy coś w barze „na stojąco“ zbieram się do wyjścia, widzę, że mój kapelusz leży obok znakną z pola widzenia. To mały piccolak wykradł go przemyślnie i odniósł do szatni w dbałości o moje mienie. Gdy zjadłem, piccolak daje znak i z szatni wybiega zgraja mundurowców niosąc usłużnie kapelusz, który muszę od nich wykupić za 20 groszy.

W pewnym barze widnieje nad szatnią ironiczny napis „szatnia bczpłatnie“. Podobno jeden z obsługujących w tym barze szatniarzy, kupił już sobie domek.

Kupując w restauracji czy kawiarni papierosy płaci się cenę wyższą od monopolowej, dlaczego? — nadwyżka to zgóry pobrany napiwek za fatygę zawartej tranzakcji.

W kinach gdy wchodzę na salę, towarzyszy mi usłużna lampka, która oświeca drogę do krzeseł. Owszem, to bardzo uprzejme. Trudno się bowiem zorientować wśród krzeseł w ciemności. Lecz gdy już siedzę sterczy nade mną cień, który przesłania mi ekran. To ów portier usłużny czeka na swój bakszysz. Gdy nie otrzyma,

odchodzi mrucząc złowrogo.

Ponadto w każdym kinie, bileter kasując bilet wręcza go razem z programem chcąc odebrać swój bilet trzeba oddzielać go w rękach biletera, czyniąc to tak, by oddzielenie biletu od programu, który ma na sprzedaż, sprawiło pewną trudność. Jest to zwyczaj niemili. Programy zresztą są w kinach zbędne. Nazwiska i fotografie aktorów widnieją w ogłoszeniach, na ulicy, w bramie kina i wreszcie na ekranie.

Dyrekcje kin mogą śmiało skasować programy zwiększając natomiast bileterom pensje.

Gdy spieszę się do pociągu i biorę w tym celu taksówkę czy dorożkę, okazuje się dopiero na dworcu, że szofer ani dorożkarz nie ma całej reszty, brak mu pięćdziesięciu groszy, w rezultacie darowuje mu się ten bakszysz.

Na ulicy gdy idę z kobietą obskakującą mię romantycznie obszarpaną z kwiatami nie chcąc narażać się obelgi, kupuję dwie róże i wręczam damie, która od tej chwili uważa mię za swego apsytyfikanta. Gdy wracam do domu 5 minut przed jedenastą zostaje bramę zamkniętą, bo o tej porze, jeśli policjant nie zauważy, „wcześniejsze“ zamknięcie bramy stanowi obfity połów bakszysów.

Temu mniej więcej szparkami wyszcząją się drobne. Każde wyjście na miasto nawet na zwykły spacer, stanowi dzięki tym zwyczajom pewien wydatek. I co gorsza te wszystkie napiwki dostają się w grucie rzeczy do grubszych kieszeni. Bowiem właściciele kamienic, barów, knajp, kin etc. wynajmując szatniarzy portierów dozorców i innych łowców bakszysów, biorą pod uwagę ewentualność ubocznych dochodów i płacą im znacznie mniej z tego tytułu.

Placona lichu usługa zaczyna działać na własną rękę zastanawiając się małym sztyldikiem z napisem „klucz u stróża“.

Jur.

## Humor

Tadzik jedzie po raz pierwszy koleją.

— Jak długo będziemy jechał z Warszawy do Krakowa? — dopytuje się matki.

— Jakies sześć godzin.

— A z Krakowa do Warszawy?

— Jak możesz tak niemądrze pytać? Oczywiście też sześć godzin.

— Ale mamusi! Od Nowego Roku do Bożego Narodzenia był cały rok, a od Bożego Narodzenia do Nowego Roku — tylko jeden tydzień.

Matka: Wwiec zaręczyłaś się, córeczko? Niechże ci słonko szczęścia świeci tak, jak nam świeciło!

Ojciec (z westchnieniem) od tego nie dostaniecie przynajmniej udu słonecznego

Ładna Janinka opowiada swej przyjaciółce wspomnienia wakacyjne: — Wiesza, to był naprawdę wykastłony człowiek! Pomyśl tylko, pocałował mię ze sto razy, zanim się przedstawił.

Przyjaciółki mówiły o ciężkich czasach i kryzysie.

— A jednak nocne lokale są podobno wciąż pełne!

— No wiesz! mądraś! Przy takich zgryzotach i zmartwieniach, kto może spać w nocy?

FRANCIS DE CROISSET

26)

## DAMA z MALAKKI

POWIEŚĆ

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD M. WANKOWICZOWEJ.

Prawdę mówiąc, małżeństwo Patrycji z Sydney'em Brandmorem zdecydowało Ralfa Lyndstone'a do oświadczenia się o rękę Muriel. Ralf zakochał się najpierw w Patrycji i zdawało mu się, że panienska odplaca mu wzajemnością, musiał jednak wracać do Capetown'u na swoje stanowisko wicedyrektora banku.

Przyjechawszy na urlop do Londynu, dowiedział się, że ta, dla której żywił serdeczne uczucie, spotęgowane jeszcze oddaleniem, wyszła za mąż za Brandmore'a.

Smutną tę nowinę oznajmiła mu Muriel. Muriel, szalenie chciała wyjść za mąż, wierzyła w przyszłość Ralfa, który jej się zresztą podobał, więc starała się go uspokoić, zapewniała go o swoim współczuciu i życzliwości, w końcu zatrzymała go na obiedzie. Ralf nie widział Patrycji od roku, a tego wieczoru Muriel niesłychanie przypominała siostrę — zdarzało się to zawsze, ilekroć nie było tamtej w domu. Młodzi ludzie spotykali się często. Ralf uważał początkowo, że rany jego serca nie zabił, aż nagle, czasem Muriel wydawała mu się najlepszym na nie lekarstwem. Temniemniej, kiedy w wigilję swego ślubu zobaczył stojącą obok Muriel Patrycję, która przyjechała z Egiptu na to wesele, Ralf z trudem stłumił w sobie atak rozpacz.

Muriel nie zorientowała się nigdy w sytuacji. Patrycja domyśliła się odrazu wszystkiego. Obdarzyła od-tąd Ralfa serdecznym uczuciem wdzięczności, które z biegiem lat nie uległo zmianie, a siostrę tklivością, o którąby ją nikt nie posadził.

Mieszkała już od dwóch lat w Rahajangu, gdy umarł nagle dyrektor Banku Angielskiego. Dzięki powodzi telegramów skierowanych do centralnych władz banko-

wych i do Foreign Office'u udało jej się zdobyć dla szwagra nominację na stanowisko, które zbliżało do niej to małżeństwo, otaczane tak romantycznie — czułą opieką.

Muriel uwielbiała siostrę. Ona jednak nie zdawała sobie nigdy sprawy z tego, że siostra ocale niebo przeżywszy ją urodą, nie cierpiała więc na tem, wręcz przeciwnie, powierzchowność Patrycji pochlebiała jej próżności: miała wrażenie, że przygląda się sobie w lustrze. Obstawiała te same kapelusze, te same suknie, co lady Brandmore.

— Taką mam wygodę — mówiła — nie potrzebuję nawet wybierać, to, w czym jest do twarzy mojej siostrze, odpowiada w zupełności i mnie, takie jesteśmy do siebie podobne!

Lady Brandmore nigdy nie rozchwiała tych iluzji, myśląc szczerze, że kieruje nią, miłość do siostry. Nie-wątpliwie grała w tem rolę i podświadoma próżność; domyślała się bowiem, że błędy kopii podkreślają imponującą doskonałość oryginału.

Kiedy Carterowie i Robert weszli do salonu zastali już tam kilka osób. Lady Lyndstone siedziała wyprostowana na fotelu, z którego wylewały się jej obfite kształty. Uśmiechnęła się łaskawie do Audrey, zrobiła ruch jak gdyby chciała wstać, w końcu nie ruszywszy się z miejsca uściśliła dłoń Herberta.

— Kochany doktorze, serdecznie się cieszę, że pana widzę. Pan, zdaje się nie zna mego męża?

Chudy, tyszawy mężczyzna o siwiejącym wasie, skłonił się pełen podziwu i zdumienia przed Audrey i z roztargnieniem uścił dłoń Herberta.

Wszedł generał Grossway, zastępca generała Mac Lone'a, a wraz z nim mała osóbka o wojowniczym wyglądzie. Zjawił się też w towarzystwie żony wice-admirał Humphrey Townhill, wspaniały żołnierz o rzymskich rysach, lady Humphrey szczerła osobą o zgarbionych ramionach i brzydkiej cerze, — nosiła face-a-main.

— Towarzystwo numer pierwszy — myślał do głębi przejęty Herbert.

— Co za kolekcja starych wielbiadów — szeptał Robert do ucha Audrey.

Przeszło kilka minut. Mężczyźni pospiesznie przedstawiali się pani Carterowej. Kobiety przypatrywały się jej z ciekawością pełną nieufności. Wreszcie drzwi otworzyły się naoszczędnie. W salonie zjawił się jasny blondynek, młodziutki kapitan Trowere - Smith i oznajmił półgłosem, jak gdyby robił wszystkim radosne zwierzenia: „Ich Ekselencje przyjechali“.

Uśmiechnął się i znikł. Sir Ralph i lady Lyndstone przeszli przez salon, kierując się ku drzwiom, a goście ustawili się w koło. Lady Brandmore ukazała się w całej swej masywnej doskonałości. Król jej jasnej sukni odznaczał się surową prostotą. Królewski uśmiech zdobił jej czerwoną twarz. Za nią szedł Jego Ekselencja Gubernator. Był bardzo wysoki i jeszcze chudszy, niż Sir Ralf, nie nosił zarostu, miał siwe gęste włosy i ogorzałą cerę. Było coś bardzo młodego w wyrazie jego oczu, a na widok Audrey zadłwiony uśmiech rozchylił jego wąskie wargi. Musiał być kiedyś bardzo ładnym chłopcem. Za nimi kroczył adjutant. Ekselencje zebrały przeglad gości, darząc ich, zależnie od sytuacji danego osobnika, rangi i sympatii, którą wzbudzał, przyjacielskimi, uprzejmymi lub poprostu życzliwymi słówkami Lord Brandmore siedł pierwszy, o metr za nim postępowała małżonka.

— Cieszę się, że mam zaszczyt poznać panią — zwrócił się do Audrey. — Mój siostrzeniec mówił już nam o pani, nie szczędząc pochwał. Widzę, że miał słuszność.

— Doktor Carter — przedstawiła Herberta lady Lyndstone.

— Dzień dobry, doktorze, porozmawiamy po śniadaniu.

Teraz następowała kolej lady Brandmore.

— Mam nadzieję, że Rahajang spodoba się pani — zwróciła się do Audrey.

Audrey pochylała się w jeszcze głębszym ukłonie niż ten, którym przywitała gubernatora i chciała coś odpowiedzieć, ale lady Brandmore zwróciła się już do Herberta.

(C. d. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 6.66.68 (redaktor naczelny), 6.66.99 (sekretariat). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.  
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66.  
Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.  
PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.  
PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

## Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-ej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekar-skie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.  
Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.